

## JERZY SKARŻYŃSKI

ur. 1921; Uchanie



Miejsce i czas wydarzeń	Uchanie, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Uchanie, dwudziestolecie międzywojenne, Żydzi, stosunki polsko-żydowskie, handel

### Spółeczność żydowska w przedwojennych Uchaniach

Był taki jeden biedak, który nosił codziennie kubły wody z pompy do pana Mendla, tego co wodę sodową sprzedawał. Mendel miał w ogrodzie za domem lód w trocinach, całe lato on miał ten lód, ojciec czy mama nieraz mówili: „Leć do Mendla, przynieś za 10 groszy lodu, to zrobię wam lody po obiedzie”. I chodziłem, dostawałem tego lodu. Ten człowiek, który pracował przy wodzie, jak maszerował z pustymi wiadrami, to sobie przyśpiewywał, jak niósł pełne wiadra od pompy, to też śpiewał coś, no to się uśmiechano tylko na widok tego człowieka.

Jeden był garbaty taki, niedaleko nas mieszkał, cichy, spokojny człowiek, te jajka nosił. Skupował i nosił. Był blacharz, jeszcze dość młody człowiek, u niego nieraz siedziałem, bo zrobiłem łódkę z dykty i powiedziałem: jeżeli para pcha lokomotywę, to łódkę także popcha, zapomniałem o tym, że to para wodna. Ojciec pozwolił mi u blacharza zrobić odpowiednią taką rurkę, siedziałem u niego, patrzyłem, dał mi taką lampkę spirytusową z knotem, pod zbiorniczkiem się paliło na tej łódce i puściłem to z radością na wodę, a łódka nie szła. A dopiero zrozumiałem w szkole, że jakby to był na przykład gaz nierozpuszczający się w wodzie, to może by popchnęło. Niegłupi chłopak byłem widać w owym czasie, jeśli myślałem o takich rzeczach.

Poza tym byli biedni Żydzi. Fiszer miał dwa konie, które co dwa, trzy lata mu padały, były niedokarmione, on im dawał tylko te odpady, osypki, to widzieliśmy, jak te konie z tego worka żarły, nie ziarnem karmił, no ale to biedna taka rodzina. Miał te dwa koniki, przewozy organizował takich czy innych rzeczy. Były postaci charakterystyczne, ale nie takie, z których można się było śmiać, to na pewno nie. Pan Kiwa Klajn był przedstawicielem gminy żydowskiej wobec gminy, urzędowym, że tak powiem, to był elegancki facet, niedaleko mieszkał, piwo sprzedawał w ładnym domu parterowym, miał córki, był szanowanym obywatelem.

Rabin to była postać taka jak proboszcz. Proboszcz nigdy nie wychodził na rynek, nie pokazywał się, tylko się gnieździł ze swoim brewiarzem na ganku plebanii. Rabin siedział w domu też. Nie chodził nigdy w czapie tej okrągłej takiej, mamy to na

różnych rycinach, obrazach, sławnych malarzy. Takiej czapy rabin nie miał, nie chodził w niej po Uchaniach. Nic, normalnie, chałaty, jarmułka i koniec, byliśmy przyzwyczajeni. Chałaty były z czarnego materiału, płaszcz taki, jak normalny prochowiec, tylko czarny. Materiał już taki był, że prawie dochodził do połysku. Tym się różnili tylko. Tak wyglądali Żydzi w Uchaniach, oczywiście nie wszyscy. Normalnie buty mieli, buty wisały raz w tygodniu na rynku uchańskim, na którym Żydzi nie potrzebowali kramów wystawiać, bo mieli dookoła sklepy. A inni, z zewnątrz, nawet przywozili z Grabowca, z Białogopola, co tam hodowali – i konie, i gęsi, i kury w handlu były na tym rynku, no to chodzili Żydzi, kupowali to czy owo. Sławny [zwyczaj] był – bicie po ugodaniu w dłoń, a przy koniach to nawet szklaneczka mała wódki, jak dogadali się, wypijali, konie zabierali. To było wszystko w ramach kultury takiej polskiej wsi, polskiego miasteczka, przyzwoite. Awantur to tylko doświadczyliśmy w dzień świętego Antoniego – Białowody, Rozkoszówka walczyły z uchańskimi chłopakami. To takie, jak dzisiaj mówią, ustawy były czy umowy takie, w ten dzień święty były bójki. I to czasem niebezpieczne bardzo były, bo pamiętam, zawsze ojciec miał roboty na świętego Antoniego, bo się porżnęli, pokłuli tam. Ale nie miało to związku z jakimikolwiek obywatelskimi różnicami – wierzący czy nie, Żyd czy nie. Był Szafran, co nam sandały kupował. Sympatyczny, wysoki taki człowiek, w ogóle do Żyda niepodobny. W rynku mieszkał, pamiętam gdzie. Jak to opowiadam, to ja widzę ten rynek i te sklepy przecież różne. Do mamy przynosił jeden Żyd mięso – cielęcina, wołowina, oczywiście nie wieprzowe. Sana Rojt się nazywał. Rozliczenie tak wyglądało – w kuchni była półeczka taka jakaś lakierowana na brązowo i na tej półeczce coś tam stało gospodarczego – przychodził, kredę wyjmował i na boku tej półki wycierał poprzednią należność i zapisywał nową. I od czasu do czasu rozliczał się z mamą. Mama zawołała go, jak pensję dostała, to tam co dwa miesiące [się rozliczali], niekoniecznie co miesiąc. Przychodził zawsze: „No, dostanę szklaneczkę wina?”, bo rodzice robili wino porzeczkowe, żytne, takie domowym sposobem, to piękny zresztą był domowy zwyczaj, to był jedyny trunek, jaki się od święta czy dla gości podawało. Wódka rzadko. I mama nalewała mu lampkę tego wina, wypił sobie, nos obtarł, jarmułkę poprawił i w tym płaszczu czarnym błyszczał od tego mięsa. Był przyjacielem domu, przychodził, nieraz posiedział, coś pogadał z mamą tam. O, i tak wyglądało zaopatrzenie.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-06-10, Warszawa
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"